

... Najbliższe dni przebiegały zgodnie z rytuałem wyznaczonym przez Perego. Po śniadaniu zabierał mnie do samochodu i obwoził po bliższej i dalszej okolicy. W czasie tych wyjazdów prowadziliśmy nieustające rozmowy. Dość szybko zorientowałem się, że prowadzi swoiste badanie mojej osoby. Chce wiedzieć jakim jestem człowiekiem i tak dalej. Po chyba trzech dniach byłem już całkowicie pewien, że z niego taki Pery, jak ze mnie Księżę Kentu. Ale grałem dalej naiwniaka dającego robić się w balona. Niech mu będzie.

Zżerała mnie ciekawość, co tu jest właściwie grane? Jak załatwiono moje zniknięcie z grupy wycieczkowej i zabrano moje rzeczy z hotelu. Znalazły się one nazajutrz rano w idealnym stanie tak, jak powiedział Pery. Dobrzy są, kimkolwiek by byli, - pomyślałem z uznaniem.

Stwierdziłem jeszcze jedno, nigdy nie byłem sam. Nawet jak udawałem się za potrzebą, czułem na sobie czyjeś spojrzenia. Nie powiem, było to krępujące i co tu gadać - wpieprzało mnie.

Ale to była moja sprawa. Na zewnątrz grałem wyluzowanego faceta byczącego się na okazyjnym, darmowym safari.

Minęło jeszcze ze dwa tygodnie w czasie których, nauczyłem Lerato sporej ilości angielskich zwrotów. Miała wyjątkowy talent i pamięć. W efekcie byłem w stanie porozumieć się z nią na podstawowym poziomie. Ułatwiało to nam codzienny kontakt przy zachowywaniu jednak daleko idącego dystansu. Było w niej coś, co nie pozwalało na jakiegokolwiek spoufalanie się.

Natomiast jeżeli chodzi o podstawowy cel mojego przyjazdu, to ani ja, ani Pery nie napomknęliśmy jednym słowem. Nie ma tematu. ...

ROZDZIAŁ 11

Taka sielanka trwała jeszcze trochę czasu. Pewnego poranka gdy jeszcze byczyłem się w hamaku, zjawiała się Lerato. Zaskoczyła mnie jej zmiana sposobu bycia. Służąca gdzieś znikła, a jej władczy głos nakazywał posłuch.

- Ty szybko wstawać. My musimy uciekać. Ja mieć już wszystko. – Usłyszałem jej angielszczyznę.

- Co się dzieje? – Patrzyłam na nią zaskoczony.

- Mało czasu mówić. Szybko.

Wyskoczyłem z hamaku złapałem leżące ubranie i ciągnięty za rękę wybiegliśmy przed chatę. Dalej ciągnąc mnie jak worek ziemniaków zniknęliśmy w otaczających chaszczach. Dopiero teraz usłyszałem zbliżający się odgłos ciężkich samochodów. Pędziliśmy jak mi się wydawało na oślep, byle dalej od wioski. Nagle warkot ucichł i rozległy się pojedyncze strzały z broni automatycznej.

Było mi gorąco od forsownego biegu, ale nagle mróz przebiegł mi po krzyżu. Zdrętwiałem. To po mnie przyjechali, - dźwięczało mi w głowie.

Przebiegliśmy jeszcze kilkanaście metrów gdy nagle podcięła mi nogi i runęliśmy w jakieś gęste, kłujące chaszczę. Przycisnęła do ziemi gestem nakazując milczenie. Dopiero po dobrej chwili dobiegł mnie odgłos przedzierania się przez krzaki i pojedyncze głosy. Prawie przestałem oddychać, wtulając się w zalegającą błotnistą papkę i nie czując kaleczących mnie kolców.

Odgłosy zbliżały się coraz bardziej, wydawały mi się tuż koło mnie. Słyszałem przyspieszony oddech prześladowcy stojącego prawie koło mojej głowy. Serce chciało mi wyskoczyć z piersi i wtedy poczułem uspakajający uścisk dłoni. Delikatnie odwróciłem głowę w jej kierunku. Uśmiechnęła się obnażając zęby. Było w tym coś zwierzęcego i ... przestałem się bać. Z nią na pewno nic złego mi się nie stanie.

Stojący koło mnie napastnik zagadał coś do kolegi będącego gdzieś niedaleko. Zamienili kilka słów i kroki zaczęły się oddalać. Dziewczyna nadal przyciskając mnie do ziemi delikatnie uniosła się, a potem z powrotem przylgnęła do ziemi. Znowu usłyszałam odgłos przedzierania się przez chaszczę.

Tym razem dochodzące dźwięki świadczyły o większej ilości myśliwych. Znowu poczułem nieznosny mróz na plecach. Cholera, nie wywinie my się. – Pomyślałem. Jestem zwierzyną, która wpadła w po-trzask. Znowu uspakajający uścisk dłoni i moje napięcie zmalało.

Gdzieś bardzo niedaleko jakiś rozkazujący głos wydawał polecenia, a inne głosy coś odpowiadały. Nic z tego nie rozumiałem, ale wiedziałem o co mu chodzi. O mnie. Mają mnie dorwać.

Kilka metrów od nas trwały poszukiwania, słychać było krzyki i nawoływania. Nie rozumiałem dlaczego nie zaglądnię w te kolczaste krzaki. Przecież to tuż obok.

Po długich, bardzo długich kilkunastu minutach odgłosy zaczęły przycichać. Wreszcie wszystko ucichło i Lerato znowu delikatnie uniosła się. Rozglądała się czujnie kilkanaście sekund a potem gestem kazała mi się podnieść. Jeszcze jedno czujne rozejrzenie się i trzymając mnie za rękę pociągnęła za sobą. Straciłem poczucie kierunku. Jak automat podążałem za przewodniczką, czując narastający ból z doznanych obrażeń. Pot zalewał oczy, a mięśnie nóg już dawno powiedziały dość.

Ale nogi mechanicznie wykonywały nakazane czynności i nadążały za dziewczyną.

Nie wiem, ile to trwało? Minuty, godziny - straciłem poczucie czasu. Naraz Lerato zatrzymała się przy jakimś dziwnym głazie i nagle znikła mi z oczu. Zbaraniałem. Jednak za moment wychyliła się i zamachała ręką.

Po chwili znalazłem się w stosunkowo wygodnym, wykopanym w ziemi pomieszczeniu. Ciężko dysząc padłem na leżące na ziemi skóry. Dziewczyna natychmiast obejrzała moje zadrapania, które zdążyły już zaognić się. Nie wyglądało to najlepiej.

- Ty czekać, ja zaraz być. – Wysapała i już jej nie było.

Nie czułem się dobrze. Wzrok zaczynał mnie zawodzić a oddech stawał się coraz bardziej spazmatyczny. Spanikowałem. Chciałem wstać, ale nogi miałem jak z waty. To już koniec, - przemknęło mi w głowie.

Naraz pojawiła się dziewczyna trzymając w garści jakieś owoce. Rozwarła drętwiejące już szczęki i wcisnąwszy mi do ust kilka owoców rozgniatając je palcem. Chcąc nie chcąc, z trudem przełknąłem za-wartość. Natychmiast pojawiła się następna i następna. Kątem oka widziałem, że i dziewczyna raczy się

tymi owocami. Pomału zaczynałem tracić przytomność. Jak przez mgłę widziałem Lerato układającą się koło mnie. Jeszcze chwilka i odleciałem w ciemność.

Było absolutnie ciemno jak oprzytomniałem. W ustach było jak na Saharze, - absolutna susza.

Poruszyłem się chcąc usiąść. Raczej poczułem niż zobaczyłem jakiś cień zbliżający się do mnie.

- Ty dużo pić. - Dobiegł mnie słaby, kobiecy głos. - Ty trzymać tykwa.

W wyciągniętych do przodu rękach poczułem obły kształt jakiegoś naczynia. Ostrożnie manipulując nim zbliżyłem do ust i poczułem smak zimnej, orzeźwiającej wody. Nie odstawiłem wcześniej nim nie opróżniłem naczynia.

- Lerato, - odezwałem się, - gdzie jesteście?

- My być bezpieczni. To schowek mojego ojca. Ale ty teraz spać. Noc.

- Ale ja muszę za potrzebą. Co mam robić?

- Dać rękę to poprowadzę.

Uczepiłem się wymacanej w ciemności dłoni i posłusznie powędrowałem za przewodniczką. Po kilku krokach jakiś ruch i poczułem powiew świeżego powietrza, a w oczach zamajaczyły się zarysy zarośli. Zrobiłem jeszcze kilka kroków i bez żadnych ceregieli ulżyłem sobie.

Widoczna w blasku rozgwieżdżonego nieba dziewczyna czujnie rozglądała się. Stwierdziwszy, że już po wszystkim, skinęła na mnie i z powrotem znaleźliśmy się w sekretnym lokum.

Nie wiem, kiedy zasnąłem, ale jak obudziłem się był jasny dzień, a przez otwarte wejście wpadał zapach gotowanego mięsa. Poczułem zwierzęcy głód. No tak, przecież cały poprzedni dzień nic nie miałem w ustach. Głód głodem, ale od wczoraj męczyło mnie pytanie. W co tak naprawdę wpakowałem się, i dlaczego ta dziewczyna narażając się na śmierć ratowała mnie? Muszę ją o to zapytać. Koniecznie. W końcu zwlokłem się ze skór i wyjrzałem na zewnątrz. Lerato zajęta mieszaniem w garnku wiszącym nad ogniskiem uśmiechnęła się do mnie. Oddałem jakiś krzywy grymas i zagadałem:

- Powiedz mi, dlaczego mnie uratowałaś? Tak bardzo ryzykowałeś. O co tu chodzi?

- My mieć wczoraj duże szczęście. To byli głupcy i nie szukali gdzie trzeba. To dobrze. Lerato nie ważna, Pit ważny. Pit musi coś zrobić. Lerato nie wiedzieć co, ale wiedzieć, że to bardzo ważne. Tak powiedzieć Pery.

- A co z nim?

- Lerato nie wie, ale pójdzie zobaczyć.

- Pójdiesz do wioski? Zabiją ciebie.

- Oni być za głupi na to. Pit poczekać a Lerato wrócić nim będzie wieczór.

- A jak nie wrócisz? – zapytałem z nieskrywanym strachem.
- Lerato wrócić na pewno. Ale gdyby duchy lasu nie były łaskawe, to potem coś pokażę.
- Lepiej jednak nie idź, to duże ryzyko.
- Lerato postanowić i pójść. – Ucięła dyskusję.

Niebawem oboje zajadaliśmy się świeżo upolowanym i ugotowanym mięskiem. Smakowało wspaniale. Ledwo skończyliśmy posiłek, jak dziewczyna gestem ręki kazała wejść do naszego lokum. Poruszyła coś i niespodziewanie osłoniło się drugie malutkie pomieszczenie. Szczeka mi opadła. Oto znalazłem się w dobrze zaopatrzonym magazynie broni. Na stojakach stało kilkanaście sztuk różnego rodzaju karabinów i pistoletów automatycznych, a i skrzynek z amunicją również nie brakowało. Wszystko zakonserwowane, gotowe do użycia, nic tylko brać i wybierać.

- Pit słuchać. - Odezwała się sucho. – Jak duchy lasu nie pozwolić wrócić, wtedy trzeba coś z tego wybrać i iść tu. - Wyciągnęła mapę i pokazała zakreślony czerwonym kółkiem punkt na mapie –

Tu masz to, - wręczyła kompas. – Znać się na tym?

Kompletnie zaskoczony i nie zdolny do czegokolwiek innego, skinałem tylko głową.

- To dobrze. – Kontynuowała – Unikać dróg i ludzi. Tu być źli ludzie. Za dwa tygodnie Pit tam dojść. Polować, ale tylko nie strzelać. Duży hałas to źle. Tylko nóż albo pułapki. Pit zrozumiał?
- A w tym punkcie, to co? – Pokazałem czerwone kółeczko na mapie.
- Twój cel. Rozumieć?
- Nie. Jaki cel? Mów jaśniej.
- Ty wiedzieć po co ty tu przyjechać?
- Wiem, ale...
- To nie pytać bez potrzeby. – Przerwała zniecierpliwiona.
- Tam spotkam Van den Burga? – Nie ustępowałem.
- Pit, ty być jak dziecko. – Zezłościła się naprawdę. – Ja już iść, a ty czekać tu do rana, a potem zrobić tak, jak ja powiedzieć.

Skinęła głową i zniknęła w otaczającej nas gęstwinie zieleni. Zostałem sam. Stałem chwilę wpatrzony w miejsce, w którym zniknęła moja przewodniczka. No facet, - mruknąłem do siebie, - nie ma rady, trzeba się stąd zmywać. Dziewczynę złapią i przycisną, to wyśpiewa wszystko a wtedy przyjdą po ciebie. Wszedłem do naszej skrytki i zagłębiłem się w analizowanie mapy.

Nie była to zachwycająca lektura. Znajdowałem się na północ od miejscowości Gaborone w pobliżu rezerwatu Central Kalahari. Natomiast mój cel, owo magiczne czerwone kółeczko, znajdowało się prawie

na styku czterech granic, Zambii, Namibii, Zimbabwe i Botswany. Z pobieżnych obliczeń wyszło, że mam do pokonania około sześćset kilometrów afrykańskich bezdroży. Zgroza...

Pierwsza myśl, - nie dam rady. Zginę prędzej niż mi się wydaje od ugryzienia jakiegoś jadowitego stworzenia, lub stanę się czymś posiłkiem. Ja mieszczuch, nie mam żadnych szans w konfrontacji z tym wrogim środowiskiem.

Ale moja wrodzona przekora nie pozwoliła na czarnowidztwo. Do kurwy nędzy - dam radę. Nie ma innej opcji, jak powrót do domu, Pati i Jacka. Dasz radę Piotrze. – Przekonywałem siebie.

Sporo czasu poświęciłem na układaniu marszruty. Nie wybrałem tej oczywistej, jaka nasunęła mi się od razu. Na to każdy wpadnie i ścigający zastawią pułapkę. Wiedziałem też, że ów punkt docelowy może być spalony i mogą tam czekać na mnie. Ale, o to będę martwił się dopiero jak dotrę, a na razie mam do przebycia nielichy kawałek bezdroży.

Przeszukałem dokładnie całe pomieszczenie szukając czegoś, co mogłoby się przydać w buszu.

Efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania. Oprócz zabranego noża, maczety, pistoletu z tłumikiem Welrod i niezawodnego AK64, znalazłem prawie wszystko, co jest niezbędne w takiej wyprawie.

Minęło niewiele czasu, jak już z pełnym plecakiem na ramionach zamaskowałem wejście naszej kryjówki, i ruszyłem przed siebie.

Hm, ruszyłem. Ładnie to zabrzmiało, ale w praktyce dużo mniej efektywnie. Słońce już chyliło się ku horyzontowi a ja nie wiem czy przebyłem ze dwa kilometry.

Przedzieranie się przez nieprzebyte gęszcz, machanie maczetą i trwożliwe rozglądanie się za czającymi się stworami wykańczało. Miałem serdecznie dość. Postanowiłem gdzieś tu spędzić noc.

Odtwarzając z pamięci widziane w telewizji sposoby rozbicia obozu starałem się jak mogłem.

Efekt może nie był wzorcowy, ale hamak rozwieszony, ochrona od deszczu wykonana a moskitiera rozwieszona. Ognia nie odważyłem się rozpaścić, więc na zimno zjadłem resztę zabranego mięsa, popiłem wodą i wdrapałem się na hamak.

Noc zapadła błyskawicznie, a wraz z nią las ożył tysiącami niesłyszanych nigdy dźwięków. Zrobiło się naprawdę strasznie. O spaniu oczywiście nie było mowy. Odgłosy jakiś dużych bydlaków to zbliżały się to oddalały, a jazgot pozostałych stworzeń wydawał się nie do wytrzymania. Na dokładkę zaczął padać deszcz. Deszcz... to za mało powiedziane.

Moje wiszące posłanie znalazło się jakby pod wodospadem. Potoki deszczu lały się z nieba, a mój niedarnie wykonany daszek niewiele pomagał. Nie trzeba było długo czekać jak byłem przemoczony do suchej nitki. Przeklinałem w duchu moment kiedy zgodziłem się na to zadanie. Byłem wściekły na siebie za głupią, harcerską chęć przeżycia takiej przygody.

Ranek powitał mnie słońcem przebijającym się przez listowie, ale i duchotą. Wszystko intensywnie parowało i zdawało mi się, że jestem w łaźni parowej. Zwinąłem obóz, posiliłem się resztkami mięsa i już miałem ruszyć dalej, gdy usłyszałem jakiś podejrzaną odgłos.

Ktoś przedzierał się moją drogą. Zimny strumyk potu spłynął po plecach. Cholera, już mnie ścigają, ale nie dam się zabić jak bezbronny baran. – Pomyślałem wściekły i zacząłem się za drzewem. W rękach odbezpieczony kałach, - czekam.

Szuranie po gałęziach zbliżało się co raz bardziej. Byłem w jakimś transie. Zbielałe ręce kurczowo trzymały broń, a moje wszystkie zmysły skierowane były na miejsce, gdzie miał ukazać się przeciwnik. Nagle usłyszałem znajomy głos.

- Pit to ja. Lerato.

- Podejdź powoli. – Zakomenderowałem przez ściśnięte strachem usta.

Jeszcze chwila napięcia i widok wyłaniającej się dziewczyny odebrał mi władzę w nogach. Usiadłem. Patrzyłem na uśmiechającą się czarnoskórą dziewczynę ubraną w jakiś dziwny, półwojskowy strój. Na ramionach pokaźnych rozmiarów plecak, u pasa dyndało UZI a rękach maczeta. Wyglądała naprawdę bojowo.

- Jednak wróciłaś. – Wydusiłem przez dalej ściśnięte gardło. – Nie zabili ciebie?

- Obiecałam a ty nie wierzyć. Niedobrze.

- Bałem się że

- Ja zdradzić. – Uzupełniła. Lerato nigdy nie zdradzić. Nigdy. Pit pamiętać o tym. A ty iść jak samochód. Tyle porąbanych gałęzi. Niedobrze. Zaraz by ciebie znaleźć.

- Nie umiałem inaczej. – Spuściłem zażenowany oczy.

- Lerato wiedzieć o tym i jest z Pitem. Gdzie Pit szedł? Pokazać na mapie.

W kilku słowach opowiedziałem moje rozważania i taki nie inny wybór drogi. Dłuższą chwilę stała wpatrzona w mapę nim odezwała się.

- Pit dobrze myśleć, ale to długa droga a my nie mieć czasu. Pójdziemy jeszcze inaczej.

- Ty tu rządzisz. – Mruknąłem. - A co z Pery?

- Nie żyje. – Warknęła, i jakiś dziki grymas przemknął po jej twarzy.

- Kto to był?

- Żli czarni, i nie pytać więcej.

- Dobra. Powiedz tylko jeszcze, co z innymi?

- Zabili jeszcze dwóch co pomagać Pery.

- Byli w wiosce jak wróciłaś?

- Nie, i dlatego mam dla ciebie coś, co miał dać Pery.

- Co to takiego?
- Dowiedzieć się tu. – Pokazała palcem czerwone kółko na mapie.
- Dopiero tu, nie rozumiem. Bo co, zgubię? – Wpieprzyłem się nie na żarty.
- Pit słuchać, co mówię i tyle. Ty powiedz kto rządzi. – Jej głos zabrzmiał groźnie.
- No dobra, nich ci będzie. I co teraz? – Spuściłem uszy po sobie.
- Nic. My iść, ale nie jak samochód. – Spojrzała koso na mnie.

Poszliśmy. Idąc dokładnie jej śladem podziwiałem jej niesamowitą zręczność w sprytnym pokonywaniu rozrośniętej roślinności. Maczety w zasadzie nie używała, widziała niewidoczne dla mnie przesmyki, którymi prześlizgiwaliśmy się, nie zostawiając w zasadzie żadnych śladów. Zrobiło mi się wstyd moich wczorajszych wyczynów z maczetą. Miała rację, nie popisałem się.

Szło się mam nadspodziewanie sprawnie. Słońce stało w zenicie jak znaleźliśmy się na skraju wyboistej, szutrowej drogi. Zalegliśmy w przydrożnych krzakach obserwując przejeżdżające nieliczne samochody. Zerkalem na skupioną twarz dziewczyny. Poczula mój wzrok, i nasze spojrzenia spotkały się. Na moment jej w sumie ładną twarz rozjaśnił uśmiech, a usta poruszyły się w niemych ruchach.

Minęło kilka minut nim ruch zmalął, a wtedy zobaczyłem gest nakazujący bieg przez drogę.

Wykonałem przepisowy start, i po kilku sekundach byłem tuż za Lerato po drugiej stronie jezdni. Jeszcze kilkanaście sekund i wpadliśmy w objęcia pierwotnej puszczy. Ślad cywilizacji – droga odeszła w daleki niebyt. W tym momencie poczułem się nędznym, bezbronnym robaczkiem rzuconym w nieznany, groźny świat. Przeszedł mnie dreszcz.

Moja przewodniczka była u siebie i na pewno obce jej były moje odczucia. Nie zatrzymywała się, tylko niestrudzenie parła naprzód. Moja kondycja pozostawiała wiele do życzenia więc moje nogi z trudem nadążały na nią. Pomału zbliżał się wieczór gdy zatrzymała się i kazała zaczekać.

Oparłem się o drzewo dysząc jak lokomotywa, a ona zniknęła w otaczającej zieleni. Po paru minutach wyłoniła się z szatańskim uśmiechem niosąc na plecach coś, co przypominało małego świniaka.

Rany, upolowała to, to w kilka minut. – Pomyślałem. – Dla mnie to i pół dnia byłoby mało.

Przybycie jej oznaczało dla mnie koniec odpoczynku, - ruszyła dalej.

Niebawem znaleźliśmy się na malutkiej polance, Lerato zatrzymała się, rozejrzała i zrzuciła z siebie plecak i upolowanego zwierzaka.

- Tu będziemy spać. Pit przynieść drzewa na ogień a ja to oprawić. – Zakomenderowała.

Przez następne długie, bardzo długie dni, właśnie to było moim podstawowym obowiązkiem. Czarnoskóra dziewczyna zajmowała się resztą, czyli dbaniem o nasze pełne żołądki. Miała w tym wprawę i zdolności kulinarne. Ale to była ta jedyna jasna strona sytuacji w jakiej przyszło mi żyć.

Wędrówka po bezdrożach tropiku jest męką, nie do opisania. Wysoka temperatura i wilgotność działa wyniszczająco na organizm Europejczyka jak i jego ubiór. Moje ubranie, kupione jako nadające się do takiego klimatu rozpadało się po kilku dniach. Wisiały na mnie jakieś postrzępione łachy, a stopy zamknięte w rozpadającym się obuwiu pokryły jakieś grzyby, i po prostu zaczynały gnić.

Gdyby nie codzienne zabiegi Lerato nie mógłbym zrobić kroku. Ona była niesamowitą opiekunką.

Wynajdywała jakieś ziele, jedne kazała jeść na surowo, a z innych robiła napar lub papkę, którą smarowała zaatakowaną skórę.

Szokiem dla mnie było odbicie w wodzie. Myjąc się pewnego dnia w jeziorze zobaczyłem w wodzie jakąś straszną twarz. Gostek miał rozczochrane, posiwiałe włosy, a na zarośniętej i wychudzonej twarzy gorzało jakimś dzikim ogniem dwoje ogromnych oczu. Całość zamykały zapadnięte policzki i nerwowo zaciśnięte wąskie, bezkrwiste usta. - To byłem ja.

Co tych kilkanaście dni zrobiło z człowiekiem...

Pomału traciłem poczucie czasu. Jeden dzień był w zasadzie kopią następnego. Zmieniały się tylko przeszkody, które musieliśmy pokonać. Teraz już byłem pewien, bez Lerato już dawno zginąłbym marnie. To nie dla mieszczaucha takie zabójcze środowisko. Idąc jak automat za prowadzącą dziewczyną wpadałem w swoisty letarg. Prawie nie rozmawialiśmy. Nie było potrzeby. Szybko nauczyłem się czytać z jej gestów i spojrzeń. Rozumieliśmy się bez słów.

Pewnego dnia stało się to najgorsze. - Zabiłem człowieka! Z zimną premedytacją. Dlaczego?

Naszą drogę marszu przegrodziła dość duża rzeka. Siedzieliśmy w zaroślach budując coś na kształt trawicy, gdy nagle dziewczyna znieruchomiała i gestem nakazała przywarcie do ziemi. Delikatnie uniosłem głowę i krew odpłynęła do nóg. W naszym kierunku zmierzało dwóch żołnierzy.

To nie był spacer brzegiem rzeki. Rozglądali się czujnie trzymając broń w pogotowiu. Na pewno usłyszeli nas i sprawdzają, co się dzieje? – Przemknęło w głowie.

Dzieliło ich od nas jakieś sześć metrów i zmierzali prosto na nas. Spojrzałem na Lerato. Pokazała znaczący gest dłoni przesuwającej się po gardle i wskazując, kto kogo bierze. Nie myśląc wyciągnąłem Welroda, odbezpieczyłem i wycelowałem w głowę. Gdy byli na jakieś trzy metry od nas nacisnąłem spust. Rozległo się ciche puff, żołnierz potknął się i upadł. Jednocześnie zobaczyłem błysk lecącego noża i padającego drugiego człowieka. Zapadła cisza.

Zerkam na dziewczynę. Widzę pobladłą, czarnoskórą twarz i gest nakazujący leżenie. Panuje cisza, tylko jakiś ptak wyśpiewuje jakieś swoje trele. Po szalenie długich kilkudziesięciu sekundach, Lerato pomału podnosi się i uważnie rozgląda. Kolejna minuta i słyszę nerwowe:

- Piter wrzucić ich do rzeki. Szybko. – Ponagliła, - ja dokończę tratwę. My musimy uciekać. Mogą przyjść ich koledzy.

- Zróbmy to razem - będzie łatwiej, a potem tratwę dokończymy razem. – Wydusiłem przez zaciśnięte usta.

- Eh, no dobrze - tylko szybko. – Spojrzała z odrazą na leżące ciała.

Uwinęliśmy się błyskawicznie. Nie upłynęły ze dwie minuty jak obaj żołnierze, wraz z przytroczoną swoją bronią płynęli wartkim nurtem rzeki. Po następnych pięciu minutach płynęliśmy i my energicznie wiosłując rękoma.

Niebawem byliśmy na drugim brzegu i po zniszczeniu tratwy, której szczątki wrzuciliśmy do rzeki, zanurzyliśmy się w gęstwinę lasu tropikalnego.

Dotychczas szliśmy szybko, ale teraz to był bieg. Widziałem na twarzy Lerato coś, czego nigdy przed tym nie widziałem. Strach. Przez cały ten czas działałem jak automat, nie analizując tego, co się wydarzyło. Miałem w głowie tylko jedno – uciekać...

Zmierzchało się jak padł sygnał zatrzymania się. Zwaliliśmy się oboje jak kłody bez życia na ziemię.

Po kilku minutach jak na komendę stanęliśmy na nogach. Takie leżenie w tropikalnym lesie to samobójstwo.

Postępując, rozbiliśmy jak zwykle obóz, jednak ognia nie rozpalaliśmy, za duże ryzyko. Na szczęście mieliśmy zapasy z dnia poprzedniego i kolacja mogła być obfita.

Ale, co z tego? Jedzenie nie przechodziło przez gardło. Przed oczami miałem wrzucane do rzeki martwe ciała, a w głowie świadomość, - zabiłem człowieka.

- Pit, - odezwała się siedząca na hamaku dziewczyna, - ty zabić kiedyś człowieka?

- Nie, to pierwszy i mam nadzieję ostatni.

- Dla mnie to być drugi. Pierwszego zabić jak mieć dwanaście lat. On chce mnie zgwałcić i zdzierać ubranie ze mnie. Nie zauważyć noża i.... zostać z flakami na wierzchu. Lerato go nie żałować. A dzisiaj tak. On nie być w niczym winien. Bogowie lasu tak chceć, że trafić na nas.

- To prawda, mieli pecha, a my nie mieliśmy innego wyjścia. Zamiast ich, to nasze ciała pływałyby w rzece. W zasadzie masz rację, oni nic złego nam nie zrobili, ale do tamtej chwili. Kilka sekund i na pewno zrobiliby dużo złego. Zabili. Rozumiesz?

- Ja rozumieć Pit, to wojna. Albo ja zabić, albo ktoś mnie zabić, tylko żal mi takich ludzi. Oni mieć dom, dzieci, być szczęśliwi - a teraz co?

- Teraz mają już spokój. Nie wiedzieli, że giną. Szczęśliwcy w pewnym sensie. A tak przy okazji, dobrze władasz nożem. Rzut w samo gardło, - podziwiam.

- Ojciec mnie nauczyć. Dobra rzecz w dżungli. Cicha, śmiertelna i nie potrzeba amunicji. Ale to być moja wina. Zając się tratwą i nie zobaczyć, co dookoła? Niedobrze z Lerato. Wystawić Pita na niebezpieczeństwo, a oni zginąć przeze mnie.

- Daj sobie spokój. Ja też mogłem ruszyć tyłkiem i rozglądać się. Było jak powiedziałaś, - tak chciał Bóg lasu i tyle. Nic już nie zmienisz.

Nic nie odpowiedziała, tylko kładąc się w hamaku i przykrywając się moskitierą, jakoś dziwnie popatrzyła na mnie. Poszedłem w jej ślady.

Przez następny dzień słowem nie wracaliśmy do minionych wydarzeń. Uparcie posuwaliśmy się w kierunku owego magicznego czerwonego kółka na mapie. Już nie było daleko. Moja przewodniczka oceniała, że za pięć do sześciu dni dotrzemy na miejsce. No tak, - pomyślałem, - ale, co dalej? Jakie jeszcze niespodzianki są dla mnie zapisane?

Wykrakałem. Niespodzianka a jakże, znalazła się. Na trzeci dzień dotarliśmy do wąskiego przesmyku łądu oddzielającego dwa mokradła, - siedliska hipopotamów.

Szykowaliśmy się już do wejścia na ten przesmyk, jak Lerato przykucnęła mruczając coś w niezrozumiałym języku. Odruchowo kucnąłem i ja patrząc pytająco na dziewczynę.

- Pit uważnie popatrzeć, ale ostrożnie. – Była wściekła.

Delikatnie wychyliłem głowę i w pierwszej chwili nic podejrzanego nie zauważyłem. Dopiero przyjrzawszy się dokładniej dostrzegłem coś, co załamało mnie. Z bujnie rosnących tu traw i kołyszących się na wietrze, wyłaniały się na moment żołnierskie sylwetki. Było ich sporo.

O kurwa, - przemknęło przez głowę, - zasadzka. Nie wiele brakowało. Kucnąłem koło niej patrząc pytająco. Uciekła wzrokiem gdzieś w bok, cały czas mruczając coś niezrozumiałego.

Pewnie odprawia jakieś swoje modły, nie będę przeszkadzał. - Pomyślałem. W głowie miałem mętlik. To była nasza jedyna sensowna droga. Co teraz? Pozostaje tylko Namibia i Kalahari. Tego nie przeżyję. Na pewno. Zrezygnowany położyłem się patrząc w niebo pokryte delikatną mgiełką.

Po kilku dłuższych chwilach zobaczyłem nachylającą się czarnoskórą dziewczynę. Miała poważną twarz.

- Być kłopot Pit. Tędy nie przejść. Tu śmierć. Inna, dalsza droga też śmierć. Pit słyszeć o Hipopotam?

- Tak, są bardzo groźne.

- Jest tylko droga przez wodę z Hipopotam. Łódka nas przewieźć. Ale Hipopotam może zatopić łódka i my zginąć. Pit rozumieć?

- Rozumiem Lerato. Wolę zginąć od Hipopotama niż z ich rąk. Tylko, skąd łódka?

- My z ojcem tu kiedyś polować i schować łódka. To być niedaleko.

- To chodźmy. Szkoda czasu. - Usiadłem.

- Nie spieszyć się. My czekać noc. Tu być dobre miejsce.

- Na noc? Aha, żeby nas nie widzieli na wodzie? – Błysnąłem inteligencją.

W odpowiedzi skinęła głową i zaczęła rozpakowywać plecak. Po chwili siedzieliśmy posilając się w milczeniu kawałkami pieczonego wczoraj mięsa.

Była jakaś nieobecna duchem. Poruszające się bezgłośnie wargi i wzrok utkwiony gdzieś daleko wskazywał na jakąś metafizyczną rozmowę z jej bóstwami. Nie przeszkadzałem.

Ja też odleciałem myślami bardzo daleko, - do Polski. Może to zabrzmiało patetycznie, ale żegnałem się z Jackiem, kochaną Pati i domem. Jednak szczególnie z jeszcze nienarodzonym moim dzieckiem. Nie wezmę go na ręce, i nie przytulę. Jaka szkoda...

Wiedziałem na jak duże ryzyko wystawiamy się płynąc nocą po wodzie, w której żyją ponad tonowe agresywne cielska. Nasza łódeczka to żadna osłona, przypadkowy kontakt z czymś takim i ... lepiej wyłączyć wyobraźnię. Jednak to jakaś szansa, jakiś cień nadziei na wyjście cało z zastawionej pułapki. Wszystko w rękach i umiejętnościach mojej przewodniczki.

Zmierzchało jak ostrożnie ruszyliśmy w kierunku schowanej łódki. Po jakiejś pół godzinie gdy już zapadała beksiężycowa, wygwieżdżona noc, doszliśmy na miejsce. Z nadbrzeżnych chaszczy Lerato wyciąga niewielką dłubankę taką, na jakiej pływają tutejsi rybacy. Jeszcze tylko dwa wiosła i

w absolutnej ciszy pakujemy się do środka. To znaczy dziewczyna, bo ze mną był problem. To coś do pływania było strasznie chybotałe, i pierwsza próba skończyła się klasyczną wywrotką. Powstały przy tym słaby plusk wydał mi się głośny niczym wystrzał z armaty.

Zastygam z przerażenia. Po chwili kolejna próba, lecz tym razem Lerato trzyma łódkę, a ja ostrożnie gramolę się do środka. Uff, udało się. Ostrożnie wiosłując ruszamy przed siebie.

Po chwili absolutnie tracę poczucie kierunku. Nie mam żadnego punktu odniesienia. Wokół porośnięta jakimś zielskiem woda, a całą resztę spowija podnoszący się z nad wody opar. Jednak moja przewodniczka wiedzona jakimś wewnętrznym kompasem pewnie sterowała naszą łupinką.

Po kilku minutach zielsko przeredziło się, ale pojawiło się coś znacznie gorszego.

Z wielu kierunków słychać było jakieś sapania, bulgoty i mlaskania. Milusie Hipopotamy.

Widzę jak tężeje sylwetka dziewczyny. Z jaką uwagą wpatruje się w wodę przed dziobem dłubanki. Żarty się skończyły. Machamy ostrożnie wiosłami, a paraliżujące mnie odgłosy zbliżają się.

Naraz nasza łódeczka podskakuje i gwałtownie przechyla się. Sparaliżowany strachem, kurczowo trzymam się śliskich boków łódki. Serce przestaje bić.

Mija kilka sekund i... żyję. Jakim cudem nie stałem się drobną przekąską dla tego stwora?

Po chwili kolejne szturchnięcie, ale mniejsze, to nic – opanowałem się i wiosłujemy rytmicznie dalej. Odgłosy dochodzące z wody to nasilały się to cichły, ale poza tym pierwszym silnym uderzeniem wszystkie pozostałe otarcia, nie wydawały się groźne.

Jak automaty zanurzamy wiosła popychając naszą łupinkę do przodu. Niebo zaczynało już jaśnieć, jak z lekkim wstrząsem dobijamy do brzegu. Wstawał kolejny dzień naszej wędrówki.

Wyciągamy łódkę, chowamy ją w nadbrzeżnych zaroślach i rozglądając się czujnie ruszamy przed siebie. Po jakiejś pół godzinie dziewczyna daje sygnał postoju, ściąga plecak i ku mojemu zaskoczeniu rzuca mi się na szyję.

- Pit, my oszukać śmierć. Rozumieć! – Krzyczy śmiejąc się głośno.

Odwzajemniam uścisk, i jak dwoje wariatów podskakujemy w jakimś zaimprovizowanym tańcu. Jesteśmy naprawdę szczęśliwi.

- Dzięki, - wysapałem ledwo żyjąc, - jesteś niesamowita. Uratowałaś nas.

- Nie Pit, to nie ja. To Duch Lasu wysłuchać moich błagań. To on odgonić od nas złe zwierzęta.

- No tak, ale to ty sterowałaś tym maleństwem. Ustrzegłaś od zła.

- Ja być tylko jego ręką. A teraz Pit, my jemu podziękować.

Uklękła i kołysząc się delikatnie poruszała bezdźwięcznie ustami. Poszedłem w jej ślady. Zaskoczony stwierdzam, że z moich ust wydobywają się słowa bardzo dawno nie słyszanej pieśni: „Kto się w opiekę odda panu swemu...”

Ciąg dalszy nastąpi.....

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

grab2105, dodano 19.08.2020 11:37

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.